

KS. TADEUSZ DZIDEK

Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie
<https://orcid.org/0000-0001-8874-009>

KS. ŁUKASZ KAMYKOWSKI

Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie
<https://orcid.org/0000-0001-9669-0939>

Portret w dialogu

ks. Tadeusz Dzidek: Matematyk, teolog, pisarz, trochę malarz-amator i fotograf – można by żartobliwie zapytać, czy Bóg jest sprawiedliwy, obdarzając tyloma talentami jedną osobę. Kto je budził i pomagał je rozwijać?

ks. Łukasz Kamykowski: Chyba nie jest po naszymu sprawiedliwy, tylko jakoś po swojemu. Ale – po sprawiedliwości – to Mu wolno być dobrym, jak sam chce i uważa. A budzili i pomagali rozwijać te talenty dobrzy ludzie, najpierw rodzice, bracia, potem i inni. Każdy z wątków wymienionych przez Ciebie ma pod tym względem własną historię. Dużo by gadać, a nie wiem, ile mamy czasu?

ks. Dzidek: Wystarczająco dużo, by rozwinąć wątki.

ks. Kamykowski: Jeśli jeszcze trochę, to dopij, proszę, kawę, a ja pozbięram myśli... To może o teologu, na początek? Bo teologiem to ja wcale nie chciałem być. Wiedziałem, że On czeka, aż wreszcie się zdecyduję odpowiedzieć czynnie na Jego propozycję, żebym został księdzem. A do tego trzeba było m.in. studiować teologię. Pamiętam, że kiedy się pierwszy raz zgłosiłem do seminarium i ówczesny ksiądz rektor zaczął od pytania: „To chciałby pan studiować teologię?”, odpowiedziałem spontanicznie: „Nie”. Była

chwila konsternacji, zanim doprecyzowaliśmy nasze stanowiska. A potem, po rozpoczęciu studiów, wcale mi się z początku ta teologia nie podobała. Przynajmniej w takim wydaniu, jak ją prezentowali główni wykładowcy – myślę o teologii systematycznej – była to, w moim przekonaniu, kiepska matematyka. Bo matematyka w czystej postaci jest piękna swoją przejrzystością logicznych konstrukcji, oczywistością wynikania z przesłanek, klarownymi zasadami gry. W teologii, która próbowała temu dorównać, zawsze czułem jakieś „naciąganie”, zamaskowane luki w rozumowaniach. Denerwowało mnie to strasznie jako byłego adepta matematyki teoretycznej. Aż kiedyś pojąłem różnicę wartości: matematyka odrywa od rzeczywistości, zwłaszcza tej ludzkiej. Nie ma dojścia do osób i ich relacji. Dobra teologia, która nie próbuje być matematyką – ma.

ks. Dzidek: Unikasz nazwisk. A szkoda. Rozumiem Twoją delikatność – stała cnotę, ale ja ośmielię się dopowiedzieć nieco ze względów historycznych. Ks. prof. Różycki – postać bardzo zasłużona dla teologii i dla „sprawy” Faustyny oraz rozkrzewienia kultu Miłosierdzia Bożego – był niemal ucieleśnieniem ówczesnej teologii systematycznej – opartej na metodzie dogmatycznej. Jeśli zatem odstawała ona od matematyki w logice wynikania, to domyślałem się, że usatysfakcjonowała Cię teologia relacyjna oparta na zaufaniu osób, które tworzą Kościół?

ks. Kamykowski: Teologia i w ogóle wielka myśl są, jak mówisz, relacyjna chyba w podwójnym znaczeniu – i jako proces tworzenia, i jako jego owoc. Myśl dotycząca najważniejszych ludzkich prac kiełkuje i rośnie w atmosferze przyjaźni i zaufania, w ramach sympozjum czy seminarium – wymiany myśli, gdzie każdy może bezpiecznie mówić „swoje”, gotów wysłuchać uważnie, czym dzielą się inni. Gdyż – jak to wielokrotnie (przytaczając Konstytucję *Gaudium et spes*) powtarzał przy różnych okazjach św. Jan Paweł II – człowiek ukonstytuowany na obraz Boga w Trójcy nie może odnaleźć się w pełni inaczej, jak przez bezinteresowny dar z samego siebie. Tworzenie teologii może przybliżać do Boga prawdziwego, jeśli ma coś z takiego wzajemnego obdarowywania. Ale i owoc w postaci jakiegoś artykułu, utworu, książki jest wartościowy, jeśli nawiązuje podobną relację z odbiorcą:

czytelnikiem, słuchaczem. Jeśli pobudza go do stawiania pytań, porównywania lektury z własnymi przemyśleniami... Ale wracając do tamtego studiowania, to ciekawi byli ci wykładowcy, którzy mieli żywą relację z autorami biblijnymi lub świadkami tradycji i ich życiowymi problemami. Znałem też pasjonatów historii matematyki, ale jest pewna różnica: matematyka jako owoc jest dużo bardziej niezależna i oderwana od życia jej twórców.

ks. Dzidek: Co mają wspólnego matematyka z teologią. Czy Twoje studia matematyczne, podjęte po maturze, a potem asystentura na Uniwersytecie Jagiellońskim były dojrzewaniem do teologii czy też ucieczką od powołania kapłańskiego?

ks. Kamykowski: Dwa pytania bardzo różne – pierwsze całkiem abstrakcyjne, drugie bardzo osobiste, z ukrytym założeniem, że było „albo – albo”. Zaczniemy od pierwszego. Teologia (i filozofia) mają swój aspekt matematyczny, choć nie w takim znaczeniu, jak się próbowało to robić (począwszy chyba od Spinozy), wierząc w moc dowodowej siły dedukcji stosowanej wprost do wypowiedzi o świecie ludzkich doświadczeń. Myślenie matematyczne to dostrzeganie powtarzających się regularności formalnych, wzorców, które dają się zastosować w różnych kontekstach. Trzy palce i dwa palce mają w sobie coś podobnego do trzech jabłek i dwóch jabłek albo trzech elektronów i dwóch elektronów, chociaż palce, jabłka i elektrony to rzeczywistości z różnych „bajek”. Dostrzeganie tego i umiejętność posługiwania się tym w myśleniu i działaniu – to matematyka. Mówiąc z całym szacunkiem dla Tajemnicy – Matematyką Boga i stworzenia jest Duch Święty jako to, co wspólne w Relacji Ojca do Syna i Syna do Ojca (co nazywamy Miłością), choć ojcostwo i synostwo to dokładne przeciwieństwo. Powielanie się tego wzoru w całym stworzeniu na niezliczone sposoby to pieczęć Ducha – Matematyki – Miłości.

No, dość tych herezji. Przejdźmy do konkretnego mojej historii. Studia były i dojrzewaniem, i ucieczką. To, że były to studia matematyczne, odegrało w tym pewną rolę, ale powiedziałbym, że drugorzędną. Miłość do matematyki była wcześniejsza od podjęcia studiów po maturze. Miała zresztą związek z sympatyczną nauczycielką matematyki w liceum (w podstawówce

nienawidziłem „rachunków”). Podjęcie studiów świeckich po maturze wynikało z rady mojego ówczesnego kierownika duchowego. Mój wybór padł na matematykę po pierwsze dlatego, że łatwo było się dostać (wiedziałem to od swojego starszego brata, który studiował ją już drugi rok), a po drugie – były to studia normalne, moralnie „czyste” – nie dało się ich „zideologizować”. Miała to być taka próba na rok. Potoczyło się inaczej i miało w pewnym okresie również cechy ucieczki. Może zastawmy już ten wątek.

ks. Dzidek: W końcu jednak zdecydowałeś się na wstąpienie do Archidiecezjalnego Seminarium Duchownego w Krakowie. Ówczesny rektor – ks. Franciszek Macharski – poznał się na Tobie, rozeznał Twój potencjał intelektualny, bo zostałeś potraktowany zupełnie wyjątkowo. Czy mógłbyś o tym opowiedzieć?

ks. Kamykowski: Zdecydowałem się. Złożyłem podanie i „papiery” przed wakacjami, a po wakacjach – wycofałem. W tym właśnie czasie nastąpiła zmiana rektora w Krakowskim Seminarium. Nowym został ks. Macharski, który mnie znał już od paru lat jako ministranta (nie było jeszcze wtedy „lektorów”) od św. Anny, gdzie on w tygodniu odprawiał często najwcześniejszą poranną mszę. Wiedział, że to wycofanie papierów miało charakter taktyczny i nie oznaczało z mojej strony całkowitej rezygnacji z planów związanych z ich złożeniem. Zaczął dyskretnie „pilnować” mnie i mojego powołania. W zakrystii od czasu do czasu opowiadał mi to czy tamto o seminarium, o aktualnych wydarzeniach z jego życia albo jakąś „przypowieść” niby nie na temat – jak to było w jego stylu. Potem pomógł mi wejść do seminarium stopniowo, przez dwa lata studiowałem eksternistycznie. Jestem mu za to do zgonnie wdzięczny. Z biegiem lat rozumiałem go coraz lepiej i czasem odgrywałem rolę jego „tłumacza”, gdy ktoś po rozmowie z nim, referując mi, co usłyszał, pytał: „co on właściwie chciał mi powiedzieć?”. To prawda – kard. Macharski wierzył we mnie, w moje powołanie, w moje możliwości, nawet kiedy ja nie wierzyłem. Wysłał mnie na studia do Rzymu, pomógł odnaleźć się w Kościele krakowskim po powrocie. Jak umiałem, próbowałem go nie zawieść. Nie mogę też nie wspomnieć, że w tle decyzji dotyczących mojej osoby stał kard. Wojtyła, który został papieżem...

ks. Dzidek: O ile pamiętam, to złożenie i wycofanie dokumentów do seminarium wiązało się z podjęciem przez Ciebie obowiązków asystenta przy katedrze matematyki teoretycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wspomniałeś osobę papieża. Kiedyś, oglądając telewizyjny film dokumentalny o przysłym papieżu, dostrzegłem jego indeks z czasów studiowania polonistyki, a w nim wpis doc. dra hab. Ludwika Kamykowskiego – Twojego dziadka. Czy kardynał Wojtyła pamiętał swego wykładowcę?

ks. Kamykowski: To wycofanie papierów miało miejsce dużo wcześniej – po roku studiów matematycznych, ja wtedy byłem zdecydowany wstąpić do seminarium, ale okoliczności... mniejsza z tym. W każdym razie od tego momentu ks. Macharski zaczął, jak mówiłem, mieć mnie „na oku”. Natomiast jeśli chodzi o drugie pytanie, to kard. Wojtyła, a później papież Jan Paweł II doskonale pamiętał doc. Kamykowskiego i wszystkich pozostałych profesorów z tego roku studiów polonistycznych, który udało mu się ukończyć przed wybuchem wojny. Pamiętał również, że należał do grupy aresztowanych i wywiezionych do obozu Sachsenhausen w listopadzie 1939 roku. Nie wiedział o jego dalszym losie. To był dla niego zawsze punkt zaczepienia do rozmowy ze mną, od pierwszego spotkania z „nietypowym” klerikiem, kiedy wreszcie wstąpiłem do seminarium krakowskiego. Co roku spotykał się indywidualnie z każdym. Za pierwszym razem ja milczałem (zamurowało mnie jak zwykle w momentach spotkania twarzą w twarz z kimś ważnym), on też milczał – pytając. W końcu musiał sam przerwać to milczenie i zapytał, czy Ludwik Kamykowski to ktoś z moich krewnych, a potem, czy wiem, co się z nim dalej stało, czy przeżył obóz... Opowiedziałem mu, co wiedziałem o dziadku Ludwiku, potem rozmowa jakoś się już potoczyła. W późniejszych spotkaniach też wracał do niego, raz próbował go scharakteryzować. Wymienił go w którymś ze spotkań z władzami UJ, choć częściej wymieniał innych.

ks. Dzidek: Zaraz po święceniach kapłańskich (bez pobytu na parafii, co samo w sobie było ewenementem) podjąłeś studia specjalistyczne na Uniwersytecie Gregoriańskim. Jakie znaczenie miał dla Ciebie ten okres rzymski? Co takiego ważnego wniósł on w Twoje myślenie teologiczne?

ks. Kamykowski: To był początek całkiem nowego etapu w moim życiu. Zaczynając od spraw drobnych – nigdy w życiu nie leciałem dotąd samolotem, nigdy nie byłem za granicą. Kiedy 7 lipca 1979 roku z zalanego deszczem lotniska w Balicach, wzbijałem się w górę, kiedy strugi wody zamieniły się na chwilę w mroczną mgłę, a potem – w morze białych baranków, a kabinę samolotu zalało światło słońca, czułem, że coś się bezpowrotnie za mną zamknęło, zapadło w przeszłość i oto startowałem – ze świeżutkim stopniem magistra licencjusza teologii, co podobno Rzym miał uznać, z nigdy dotąd niezweryfikowaną znajomością francuskiego i angielskiego, z kilkutygodniowym stażem kapłańskim (wypełnionym, co prawda, dość niecodzienną i kształcącą treścią pierwszej wizyty Jana Pawła II w Polsce), z paszportem o rocznej ważności (ewentualnie przedłużalnym) i kilkunastu dolarami w kieszeni, startowałem ku czemuś nowemu, niewątpliwie fascynującemu, ale też rodzącemu wszelkiego rodzaju obawy...

Okazało się, że (nie bez bólu) świat rzymski da się ogarnąć. I nie jest tak całkiem obcy. Nie tylko z powodu papieża Polaka i mojego do niedawna biskupa, nie tylko z powodu polskiego klimaciku w Kolegium Polskim przy Piazza Remuria na Awentynie. Także dlatego, że Rzym to nie jest po prostu włoskie miasto. To jest skrzyżowanie tak bardzo różnych dróg („wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”) w czasie i przestrzeni. Tam czuje się ciężar historii *ab Urbe condita*, z podskórnie wciąż żywym pogaństwem, i zmagają (nie zawsze zwycięskich) uczniów Jezusa z łodzi Piotrowej o utrzymanie kursu wśród zawirowań dziejów w tym miejscu świata. A Kraków mojego dotychczasowego doświadczenia rzeczywiście był jakoś „małym Rzymem” w sensie wprowadzenia w niektóre ważne wymiary życia w „wiecznym Mieście”. Dużo bardziej obco i samotnie się poczułem, gdy po paru dniach posmakowania rzymskiego doświadczenia znalazłem się na intensywnym kursie włoskiego w Perugii.

ks. Dzidek: Jako matematyk i teolog zająłeś się w swoim doktoracie myślą Teilharda de Chardin – człowieka-instytucji, który próbował łączyć wiele dyscyplin naukowych. W jakiej mierze Twoje badania twórczości Teilharda były dla Ciebie zachętą do dialogu pomiędzy nauką a teologią, a w jakiej mierze rozczarowaniem?

ks. Kamykowski: Jeśli chodzi o myśl Teilharda, o stworzony przez niego system, to po oczarowaniu przyszło rozczarowanie. Została natomiast pamięć spotkania z niezwykle człowiekiem, a raczej gronem ludzi i korespondencyjnym dialogiem, bo praca była oparta głównie o jego korespondencję, którą wtedy właśnie wydano w 100-lecie jego urodzin. Zostało współczucie dla niego z jego trudnym losem, w którym po swojemu próbował być wiernym swemu powołaniu i jezuickiemu, i naukowemu. Przede wszystkim – Sercu Jezusowemu, które jest sercem Kosmosu. System był już pod koniec życia tak doskonały, że nie mógł być adekwatny w teologii, stał się nudny i oddzielił go też od ludzi. Zostały za to ważkie pytania, którymi poważnie musiał się zająć II Sobór Watykański w 10 lat po jego śmierci w poranek wielkanocny 1955 roku. Nie tyle były to pytania o relację między teologią a naukami, co o sens dziejów i angażowania się w doskonalenie świata doczesnego, w jego „postęp”. Została mi też pasja rozumienia żywych ludzi stojących za tekstami, które stworzyli. Także po zajęciu się myślą Karola Journeta starałem się dotrzeć do jego korespondencji – szkoda, że wymiana listów między nim a księdzem Montinim i Maritainami została wydana w całości po moim odejściu (wraz z zamknięciem przewodu habilitacyjnego) ku innym sprawom i myślicielom. Może na emeryturze?

ks. Dzidek: Habilitacja stanowi początek jednego z głównych wątków Twoich poszukiwań – chodzi o relację pomiędzy chrześcijaństwem a judaizmem. Jednak zanim zapytam o habilitację, chciałbym postawić inne pytanie – skąd Twoje zainteresowania judaizmem? Po Krakowie krążą legendy o Twoim pochodzeniu. Czy mógłbyś rozjaśnić tę kwestię?

ks. Kamykowski: Co do legend, to wiem, jak prędko i łatwo się tworzą. Sam, jak wiesz, mam udział w ich powieściowym przetwarzaniu. I doświadczyłem tej prędkości na przykładzie św. Jana Pawła II. W rok po jego śmierci (chyba jeszcze w 2006 roku) zacząłem pisać opowieść, której akcja miała się rozgrywać w 1999 roku w Krakowie i dotyczyć, m.in. jego pobytu w owym roku w moim mieście... Wiesz, że do niektórych szczegółów historycznych tej wizyty nie umiałem już wówczas dotrzeć ani przy pomocy własnej pamięci, ani w rozmowach z uczestnikami wydarzeń, ani w dokumentacji?

A legendy o moim rzekomym żydowskim pochodzeniu docierały do mnie już w seminarium, zwłaszcza w czasie rzymskich studiów i po powrocie z nich, zanim zacząłem metodycznie zajmować się relacją Kościół – Izrael. Później przybrały na sile i pewnie utrzymują się do dziś. Ludziom trudno uwierzyć, że taką problematyką można się interesować z czystej miłości do prawdy. Gdzie jest źródło tych legend – nie wiem. Fizycznie wyglądam, jak wyglądam. Raczej nie po słowiańsku, według przyjętych w Polsce stereotypów. A wielu sądzi (po dziesięcioleciach powracających fal propagandy antysemitki), że Żyda można rozpoznać po wyglądzie. W każdym razie, żeby zamknąć tę kwestię, na pewnym etapie sam przyczyniałem się do utrwalania takiej legendy: „chcecie tak uważać, to sobie uważajcie”. Śmieszyło mnie to. A przy okazji spraw spadkowych po śmierci Rodziców (prawa do grobów na cmentarzu Rakowickim) sprawdziłem księgi metrykalne – od czterech pradiadków i czterech prababek do mnie włącznie wszyscy byliśmy ochrzczeni w niemowlęctwie w Kościele rzymskokatolickim i tam też przodkowie wchodzili w związki małżeńskie.

A jeśli chodzi o moje zainteresowanie? Od końca szkoły podstawowej interesował mnie krakowski Kazimierz i inne peryferyjne, zaniedbane i trochę groźne dzielnice (Podgórze, Płaszów, stara Nowa Huta). Kiedyś, chyba w czasie studiów, „szarpnąłem się” na bilet do muzeum w Starej Synagodze. Ale były to epizody bez ciągłości. Natomiast propozycja tematu habilitacji związanej z relacjami chrześcijańsko-żydowskimi zaintrygowała mnie i ożywiła tamte epizody.

ks. Dzidek: W habilitacji podjąłeś temat: *Izrael i Kościół według Charlesa Journeta*. Dlaczego akurat Journet?

ks. Kamykowski: Zostałem namówiony przez kard. Macharskiego. Kiedyś z nim rozmawiałem o trudnościach związanych z tematem, który mi wtedy chodził po głowie w związku z habilitacją. Zdawał sobie sprawę, że powinienem nie zwlekać i zacząć pracować nad konkretnym tematem. Zaproponował mi profesora, którego znał ze swoich studiów we Fryburgu. Twierdził, że jego spuścizną warto się zainteresować. Trochę prac przetłumaczono na polski. Będzie zainteresowanie tym teologiem, bo zbliża się stulecie

urodzin (1991). Kardynał miał nadzieję (która ostatecznie zawiodła), że dzięki swoim dawnym kontaktom znajdzie mi możliwość wyjazdu do Fryburga na semestr. Skonsultowałem się z promotorem mojego doktoratu, o. Latourellem, któremu pisałem o moich projektach dalszej pracy naukowej i trudnościach. Jego zdaniem, pomysł – owszem, ale „trzeba dobrze wybrać”. Stało na tym, że po wstępnym rozeznaniu źródeł przedstawię mu parę propozycji tematu. Skończył właśnie pracę na Uniwersytecie Gregoriańskim i wybierał się do Polski jako młody emeryt przed powrotem do ojczystego Quebecu. Miałem tych propozycji pięć czy sześć. Kiedy je przedstawiałem, kręcił nosem – wszystko było już opracowane albo nie wydawało się odkrywcze. Na końcu listy miałem (w zasadzie „rezerwowo”) jeszcze jeden temat: „Izrael a Kościół”. Profesorowi zaświeciły się oczy: to jest to!

ks. Dzidek: Pamiętam, że książkę pisałeś w dwóch kolumnach po francusku i po polsku. Zdaje się, że był związany z tym pewien plan. Ale jeszcze większe wrażenie zrobiło na mnie tworzenie przez Ciebie własnego programu komputerowego użytego do badania twórczości Journeta. Efektem było dogłębne zbadanie jego warsztatu i źródeł, z jakich czerpał. Liczne tabele zawarte w książce są tego świadectwem. Myślę, że niewielu teologów na świecie doczekało się takiego opracowania.

ks. Kamykowski: Nie miałem jeszcze komputera, gdy opracowałem „program” analizy ilościowej Journetowych cytowań. Wtedy musiałem się zadowolić papierem w kratkę. Ale w podwójną kratkę dało się wpisać 16 informacji zaznaczanych kropką (dla większej przejrzystości w 16. kolumnach) przy wykorzystaniu czterech narożników każdej kratki. Cztery kratki zeszytu mogły reprezentować stronę tekstu analizowanego dzieła, o której mogłem „zakropkować” 16 standardowych informacji. Było to dość żmudne, ale mnie wciągało, a wyniki pozwoliły czuć się pewniej przy dalszej, już jakościowej, analizie. Dzięki nim wiedziałem, jakie były „ulubione” miejsca teologiczne Journeta w podstawowych dwóch pracach poświęconych relacjom Izraela i Kościoła, najpierw biblijne, potem patrystyczne i dotyczące dalszych teologów, z których korzystał...

ks. Dzidek: Habilitacja zapoczątkowała główny nurt Twoich poszukiwań teologicznych dotyczących dialogu między chrześcijaństwem a judaizmem. Ich efektem jest trylogia: poza wspomnianym studium *Izrael a Kościół*, następnie książka „*Cały Izrael*”. *Ku katolickiej wizji Izraela i Żydów* i wreszcie Twoja ostatnia synteza *Obraz Izraela i Żydów w myśli chrześcijańskiej*. W tej ostatniej jeden rozdział poświęciłeś metodzie teologii w dialogu. Stwierdziłeś m.in., że poznanie własnej tożsamości dopełnia widzenie od zewnątrz. W jakiej mierze to spojrzenie świadków odmiennej tradycji religijnej – Żydów – wpłynęło na Twoje rozumienie chrześcijaństwa i Ciebie samego?

ks. Kamykowski: Spojrzenie drugiego, jego słowa są na pewno bardzo ważne. Nawet podstawowe, fundamentalne. Mały człowieczek odkrywa siebie oczyma rodziców, potem dzięki ich słowom. Teolog robi to najczęściej wtórnie, kiedy spotyka mistrza i kiedy potem próbuje go weryfikować przez ocenę krytyków, którzy z nim się nie zgadzają. Choć wydawałoby się to oczywiste, nieczęsto w historii teologii odkrywano, że spojrzenie ze strony myślicieli żydowskich może być dla nas chrześcijan szczególnie cenne: jest wystarczająco bliskie, by można się było porozumieć, a jednocześnie jest niewątpliwie krytyczne i jednak „z zewnątrz”. Jeśli chodzi o mnie, to musiałem najpierw „odkryć” istnienie myślicieli żydowskich – najpierw w postaci książek, a potem (niedługo) – także żywych. Było to za sprawą sporu o Karmel przy obozie Auschwitz. Dla mnie trwa do dziś to pogłębianie rozumienia chrześcijaństwa i teologii za ich pośrednictwem. Jeśli chodzi o treści, nauczyłem się innego patrzenia na Pięcioksiąg, a potem – na odczytywanie i wartościowanie całej reszty Starego Testamentu. Biblia ma z ich perspektywy wartość przede wszystkim jako „instrukcja obsługi” świata, który Bóg powierzył nam wszystkim, abyśmy Mu nim zarządzali. Siebie widzą oni w tym kontekście jako „instruktorów” czuwających nad właściwym zrozumieniem boskiej instrukcji. Wiąże się z tym sposób patrzenia na sprawy boskie i ludzkie – oni są dużo mocniej „chodzącymi po ziemi”, mniej „bujającymi w obłokach”. To – jak zawsze – uogólnienie, które tylko częściowo przybliży ogólne wrażenie; spotkanie z każdym człowiekiem, z każdym myślicielem, to inna przygoda.

ks. Dzidek: Prawie przez cztery dekady byłeś również aktywnym promotorem dialogu ekumenicznego. Przez wiele lat miałem okazje przyglądać się Twoim relacjom z przedstawicielami innych kościołów chrześcijańskich. Zawsze mnie uderzała przyjaźń, jaka Was łączyła. Ujawniała się ona w serdecznej atmosferze podczas modlitw i spotkań przy stole, wiernym towarzyszeniu podczas choroby czy w uczestnictwie w uroczystości pogrzebowej. Na poziomie relacji między osobami już stanowiliście jedność. Jednakże dialog doktrynalny stał jakby w tym samym miejscu. Czy podzielasz moje wrażenie?

ks. Kamykowski: Pierwsze wrażenie rzeczywiście może takie być. Co do pierwszej części – rzeczywiście, w gronie stałych uczestników spotkań byliśmy w jakiejś mierze jednością. Jedności w Panu nie da się jednak stworzyć na tym świecie raz na zawsze; wciąż na nowo trzeba o nią zabiegać i jednocześnie – prosić, bo to łaska. Co do drugiej części Twojego wrażenia muszę dokonać pewnych rozróżnień. Z pytania wynikałoby, że oczekiwałeś postępu doktrynalnego od uczestników dialogu w naszym „domowym” krakowskim czy może polskim gronie. Jaki postęp byłby tu możliwy? Krakowskie grono było i jest przede wszystkim duszpasterskie i cel spotkań był przede wszystkim duszpasterski, ewentualnie edukacyjny. Stwarzać okazje, organizować spotkania, uczyć się wyjaśniać wiernym Kościołów stanowisko innych, by pokazać różne podejście do Ewangelii z wrażliwością większą lub mniejszą na różne jej aspekty. Pogłębienia teologicznego mogliśmy oczekiwać głównie od zapraszanych gości – teologów z innych części Polski, rzadko kiedy spoza jej granic. Do niedawna przecież fizyczna ich obecność na spotkaniu była jedyną szansą, żeby móc z nimi porozmawiać, dopytać. (Pod tym względem napędem uruchamiającym wykorzystanie środków telekomunikacyjnych okazała się pandemia). Do tego trzeba dodać doktrynalną zależność teologów od Kościołów, które reprezentują, od ich tradycji. W Kościołach katolickich i prawosławnych ta zależność jest *de iure*; w Kościołach nurtu Reformacji *de facto* jest również wyraźna. Ogólna tendencja rozmów doktrynalnych w ostatnim półwieczu przebiegała od entuzjazmu i oczekiwania szybkich sukcesów w latach 60., przez impas i zniechęcenie na przełomie wieków, do oznak nowego ożywienia

przez podjęcie nowych tematów i zgodę na powolne i żmudne zbliżanie stanowisk. Teologia tworzy też swoją historię. Zmiany nie są dziś powolne. Za mojej pamięci z pokolenia na pokolenie przesunął się znacząco obszar ważny i twórczy w teologii w ogóle, a w teologii ekumenicznej w szczególności – od mistrzów z połowy XX wieku, głównie Europejczyków języka niemieckiego i francuskiego do przełomu wieków, gdzie szybko nabrali znaczenia język angielski i hiszpański i myśliciele oraz myślicielki z innych kontynentów – głównie obu Ameryk, ale nie tylko. Udział polskich teologów w gronach międzynarodowych od lat 90. rośnie nie tylko po stronie rzymskokatolickiej. Przy tych wszystkich zastrzeżeniach za mojej pamięci dokonały się dwa zbliżenia doktrynalne, w których polska myśl teologiczna zaznaczyła się aktywnie: teologia chrztu i warunków ważności z praktycznymi konsekwencjami oraz teologia małżeństwa osób o różnej przynależności wyznaniowej...

ks. Dzidek: Czy te dwa zbliżenia doktrynalne mógłbyś szerzej wyjaśnić?

ks. Kamykowski: Nie bardzo to śledziłem – to są szczegółowe konsekwencje wyznawanej wiary, czyli dogmatyka. Na pewno u podstaw pierwszej kwestii leży rozumienie Eucharystii. Tu nie bez znaczenia było w relacjach ze światem protestanckim wyjaśnienie, że sprawowanie Eucharystii jest też swoistym zwiastowaniem, głoszeniem Ewangelii, a w dialogu także z innymi wyznaniem – doprecyzowanie roli szafarza. Sam ze swej strony raz w pewnym artykule apelowałem do teologów katolickich, żeby próbowali wyjaśnić, czym jest w naszych oczach liturgia sprawowana w Kościołach i Wspólnotach protestanckich. Dobrze – wykazuje braki, ale czy wobec tego w ogóle nie jest znakiem i narzędziem Łaski? Co do małżeństw „mieszanych” – wyjaśnienia domagało się najpierw rozumienie wymiaru naturalnego i nadprzyrodzonego małżeństwa chrześcijan w ogóle. Może tyle.

ks. Dzidek: Trochę na marginesie dialogu z innymi kościołami chrześcijańskimi, a także z judaizmem, stałeś się od wielu lat promotorem dialogu z islamem, organizując dzień tej religii w Kościele katolickim. W ostatnich latach bardzo trudno jest o życzliwość rodaków i w ogóle Europejczyków

wobec religii Mahometa. Poczucie zagrożenia wywołują zamachy i groźby płynące ze strony ekstremalnych, imigracyjnych środowisk muzułmańskich. Wielu, wskazując na te sury Koranu, które wprost nawołują do wojny z innowiercami, twierdzi, że dialog z islamem jest po prostu niemożliwy z samej istoty. Jakie jest Twoje stanowisko w tym względzie?

ks. Kamykowski: Tym bardziej trzeba wspierać te nurty wśród muzułmanów, które podkreślają w Koranie inne sury i wyszukują w tradycji muzułmańskiej inne interpretacje prawa religijnego (szariatu), takie, które mówią o istnieniu różnych religii z woli Allacha i nawołują do zgodnego współistnienia – jak to zresztą uparcie czyni papież Franciszek. Bo islam może wyglądać bardzo różnie, nie ma swojego „papieża”. Najwięcej zależy od „kaznodziejstwa” podczas piątkowych zgromadzeń i nabożeństw. Oczywiście radykalizacja, którą wciąż nagłaśniają media, a podkreślają mocarstwa polityczne i prywatne ze względu na rynki surowcowe i zbytu np. wycofywanej broni, jest ponurym faktem, ale są też inne fakty, pozytywne, raczej nie nagłaśniane. Jest też prawdą, że islam z założenia dąży do zaprowadzenia teokracji w doczesności i uważa, że jest to z korzyścią dla świata. „Wierni” powinni się solidarnie wspierać, innych (z wyraźnym wyróżnieniem „narodów Księgi”: Żydów i chrześcijan) należy tolerować, jeśli nie są całkiem bezbożni. Ale granice przebiegają bardzo różnie. Dla pewnych muzułmanów niektórzy inni muzułmanie są „niewiernymi”. W dokumentach *Vaticanum II* poza chrześcijanami różnych wyznań, tylko Żydom praktykującym judaizm przyznaje się status ludu w sensie religijnym, zbawczym. Poza tym mowa jest o wyznawcach różnych religii (wśród których wyróżnia się wyznawców islamu jako najbliższych nam religijnie po Żydach). Późniejsza teologia katolicka i protestancka zaczyna zastanawiać się nad wartością różnych religii dla zbawienia ich wyznawców, dopuszczając rozwiązanie pozytywne.

ks. Dzidek: To będzie pytanie bardziej osobiste, bo dotyczące Twojej osoby. Pamiętam Cię jako świeżo upieczonego doktora po powrocie z Rzymu. To był początek lat 80. Oczywiście robiłeś wrażenie człowieka bardzo zdolnego, ale jednocześnie nieśmiałego, schowanego „za podwójną gardą”,

żyjącego w swoim świecie. Moim zdaniem nie miałeś osobowości predestynowanej do dialogu międzyreligijnego czy też ekumenicznego. Jak to się stało, że stałeś się twarzą Kościoła krakowskiego w tych kontaktach z innymi i to przez tyle dziesiątków lat?

ks. Kamykowski: Takie wrażenie odnosili (i odnoszą nieraz) także inni, podobnie widzę też sam siebie, więc chyba coś w tym jest. Ale nie miałem wyjścia – stałem się taką – jak mówisz – „twarzą” (czy gębą) dialogu nie z własnej winy, trochę wbrew sobie. To inni mnie takim uczynili, a ja to przyjąłem. Dowiedziałem się po latach, że umieszczenie mnie na mieszkaniu jako sąsiada ks. Andrzeja Bardeckiego – inicjatora i ówczesnej „twarzy dialogu” w Krakowie było „ukartowane” między nim a kard. Macharskim. Ten ostatni wiedział, że moje zaangażowanie się w ruch Focolari predysponuje mnie do przyjęcia propozycji, jeśli ten pierwszy poprosi mnie o pomoc w ekumenizmie diecezjalnym. A ten pierwszy prosił już na „odchodnym” kard. Wojtyłę o mianowanie następcy w tej roli i usłyszał, że musi sobie znaleźć i wychować kandydata. Ale jeszcze po powrocie z paryskiego stypendium, czyli na początku lat 90., gdy na jakimś spotkaniu w Warszawie przedstawiono mnie jako „człowieka dialogu” zaoponowałem, tłumacząc, że ja pracuję „na zapleczu” dialogu, przez co miałem na myśli swoją pracę jako teologa. A żeby było śmieszniej, w swej teologii dialogu z biegiem lat coraz bardziej się upominałem, żeby każdy dialog prowadzić z człowiekiem najpierw jako człowiekiem, a nie z jego etykietką czy „twarzą”, a raczej maską, którą mu nakładamy, wyobrażając sobie kategorię ludzi, do których się zalicza. Cóż, takie jest życie. Mam nadzieję, że emerytura powoli mnie „sprywatyzuje” i odejdę do Pana jako Łukasz i kropka. Może to już ostatnia kropka tego wywiadu?

ks. Dzidek: Oj nie! To by było za szybko. Wspomniałeś o ruchu Focolari. Przybliż, proszę, ten ruch i powiedz, jaki miał wpływ na Twoją duchowość.

ks. Kamykowski: Ruch Focolari (to liczba mnoga od *focolare*, co w dialekcie trydenckim oznacza ognisko lub otwarty kominek w domu, gromadzący na co dzień całą rodzinę wokół siebie) oficjalnie zatwierdzony przez

Kościół jako dzieło Maryi ma już obfitą literaturę także w języku polskim, więc tylko bardzo krótko. Powstał w Trydencie pod koniec II wojny światowej z inicjatywy i pod bardzo silnym wpływem Sylwii Lubich, najpierw w łonie „trzeciego zakonu” kapucyńskiego (za symboliczną datę założenia przyjmuje się 7 grudnia 1943 – poświęcenia się Bogu założycielki, która przybiera imię Chiara – Klara). Klara Lubich zmarła w 2008 roku. Jej proces beatyfikacyjny dobiega końca, a ruch rozwija się od końca lat 40. pod opieką arcybiskupa Trydentu, sugerującego już w 1948 roku wyłączenie go z ram trzeciego zakonu i Akcji Katolickiej. Od 1950 roku rozprzestrzenił się dynamicznie w Rzymie i innych miastach Włoch, od 1960 – w innych krajach Europy i wkrótce po tym – na innych kontynentach. Głównym wyróżnikiem i siłą przyciągającą zwolenników jest idea jedności – komunii, która powinna kształtować wzajemne relacje między chrześcijanami (niekoniecznie i nie najpierw różnych wyznań), czyli położenie akcentu w życiu duchowym (przy oczywistym założeniu prymatu Miłości, którą jest Bóg) na miłość w wymiarze horyzontalnym, nie tylko tę, która rozdaje, ale i tę, która powraca w formie odwzajemnienia i dzięki temu buduje komórki (ogniska, *focolari*) eklezjalne. W dobie *Vaticanum II* święci papieże – najpierw Paweł VI, a potem Jan Paweł II, widzieli w ruchu opatrnościowe narzędzie do promowania w praktyce soborowych idei komunii i dialogu. Papież Franciszek, również bardzo życzliwy, zasugerował adaptacje konieczne po śmierci fundatorki i wobec nowej rzeczywistości czasów dzisiejszych.

A jeśli chodzi o drugą część pytania, to właśnie od lat – od czasu rzymskich studiów, gdzie ruch poznałem na dobre i zacząłem się wciągać w jego sposób przeżywania chrześcijaństwa – czerpię to, od czego, jak gdzieś wcześniej zauważyłeś, najchętniej bym uciekł na pustynię. Stałe praktyki wychodzenia wbrew sobie ku ludziom, próby wysłuchania ich do końca, gdy opowiadają o głupstwach albo o swoim przeżywaniu Ewangelii, nielekceważenie możliwych drobnych i mniej drobnych okazji do okazania życzliwości i pomocy, wyczerpanie w ogóle na ich dostrzeganie; także mała wspólnota księży i szersza, lokalna, złożona z ludzi wszelkich stanów i powołań, której sobie sam nie wybrałem, a która dawała mi szansę dzielenia się życiem – to wszystko i jeszcze więcej jakoś mnie powoli urabia do podejmowania roli człowieka dialogu. Możesz się uśmiechnąć, znając mnie

i wiedząc, że efekty są nikłe, ale bez tego przełamywania się byłoby pewnie znacznie gorzej. To jest część mojego powołania równie ważna albo i ważniejsza, choć w inny sposób, jak powołanie kapłańskie. Wiedziałem to od początku, choć się tego bałem. Wiesz, jak to jest: wiele jest rzeczy pięknych także wśród tych duchowych, może nawet bardziej by mi odpowiadały, ale ta jest szansą dla mnie podarowaną z Góry. I potem już trzeba się tego trzymać na dobre i na złe. I w sumie jest pięknie.

ks. Dzidek: Zacząłem ten wywiad od wyliczenia Twoich talentów. Zdążyliśmy już porozmawiać o Tobie jako matematyku i teologu. Skoncentrujmy teraz, proszę, naszą uwagę na Tobie jako artyście. Niewątpliwie drzemał w Tobie nie w pełni rozwinięty talent malarstwa. Pamiętam pejzaże, które malowałeś po rowerowych eskapadach w okolicach Krakowa. Ale największe wrażenie zrobił na mnie portret, jaki mi zrobiłeś, posługując się szkolnymi akwarelkami wiele lat temu. Powstał on zaledwie w kilka minut podczas picia kawy. Czy pędzel i paletę podsunął Ci kiedyś Tata – profesor Akademii Sztuk Pięknych?

ks. Kamykowski: Tak akurat wyszło z tym portrecikiem akwarelką. Nie zawsze wychodzi. Rozwijałem ten, jak mówisz, talent – z woli obojga rodziców – od jakiegoś wczesnego dzieciństwa do 16 roku życia, kiedy przeważało co innego. Pod kierunkiem kolegi mojego Taty z ASP, który prowadził pracownię malarską w MDK-u (dawniej, przed wojną, YMCA) przy ulicy Krowoderskiej. Nigdy nie słyszałem – nota bene – o Tacie, żeby był profesorem, choć zdaje się, że w Akademii Filmowej w Łodzi miał jakieś zajęcia praktyczne z tamtejszymi studentami. Kochał tworzyć, pisanie sprawiało mu trudność (dysleksja, która wtedy była rzeczą wstydliwą). Jeśli o mnie chodzi, wolałem rysowanie od malowania. Przestałem robić to regularnie w okresie seminaryjnym – nie było warunków ani klimatu. Chyba każdy okres życia wymaga własnych środków ekspresji. Zacząłem za to pisać, relacjonować, opowiadać, stworzyłem kilkanaście wierszy, zawsze z odniesieniem religijnym. Wiersze zarzuciłem całkiem po powrocie z Rzymu. Od 2000 roku zaczęły powstawać książki – powieściowe wersje znanych i mniej znanych legend krakowskich, potem inne. Do rysowania

wróciłem w ostatnich latach, głównie na potrzeby ilustrowania tych książeczek, odkąd moja bratanica Justyna przestała to robić, założywszy własną rodzinę (zilustrowała osiem pierwszych wydanych przez WAM). Jakąś kontynuacją zainteresowań plastycznych jest fotografowanie.

ks. Dzidek: Jeśli dobrze pamiętam, pisanie powieści wiązało się z bardzo sympatycznym zdarzeniem. Nasza uczelnia gościła profesora z zagranicy, a Ty w trakcie zwiedzania Krakowa chciałeś także uczynić bardziej atrakcyjnym poznanie naszego grodu jego dziecku...

ks. Kamykowski: Dokładniej czterem córkom profesora w wieku mniej więcej dzieci chodzących do szkoły podstawowej. W spotkaniu międzyuczelnianym chodziło o dopracowanie współpracy między czterema uczelniami z różnych krajów. Owego popołudnia rozmowy nie dotyczyły PAT-u, córki profesora z Udine nudziły się, mieszkając z rodzicami trochę na obrzeżach Krakowa. Zaoferowałem się, że pokażę im miasto, coś im opowiem. Zadanie wydawało się proste, z włoskim miałem w tamtym czasie dość żywy kontakt, a w Krakowie mieszkam całe życie. Tymczasem już przy pomniku Smoka Wawelskiego okazało się, że nie jest to takie proste. Dziewczyny były dociekliwe, dopytywały o to, skąd się wziął ten smok, o bliższe związki króla Kraka z Szewczykiem, a także o więzy rodzinne z Królową Wandą i dlaczego ona „nie chciała Niemca”, co było jeszcze o tyle bardziej delikatne, że dziadkowie dziewczynek (nie pamiętam, z której strony), choć amerykańscy, to byli emigrantami niemieckimi. Żeby zyskać na czasie, zacząłem od jajka, z którego wylęgął się smok i obiecałem, że jak będą grzeczne i dadzą się poprowadzić dalej (na Kanoniczą, Grodzką etc.), to się dowiedzą, co dalej. O ile pamiętam, w trakcie zwiedzania wyszło mi pięć odcinków opowieści, ale nie wyczerpałem tematu ani ciekawości moich słuchaczek i jeszcze dwa dalsze przesałem im potem listownie. Rok lub dwa później przy okazji jakiegoś „gadu-gadu” przy stole z siostrami z przedszkola, przy okazji wspominania tamtej przygody, zapytały mnie, czemu nie opowiem i nie spiszę tej historii po polsku. Zaraz potem zaczęło się wyjątkowo brzydkie i dżdżyste lato, chyba także remont w mieszkaniu wymagający moich konsultacji – nie dało się jechać z Mamą na wakacje,

siedziała całymi dniami trochę markotna. Spróbowałem napisać pierwszy odcinek po polsku i podsunąłem jej do poczytania. Nazajutrz spytała zdziwiona, dlaczego nie dostała następnego... Po polsku pisało mi się znacznie łatwiej – wyszły w sumie 54 odcinki *Prawdziwej opowieści o Królu Kraku i Królownie Wandzie wraz ze Smokiem i towarzyszącymi osobami*.

ks. Dzidek: Mówiłeś już, że każdy okres życia wymaga własnych środków ekspresji. Czy w przypadku Twojej twórczości literackiej chodzi tylko o inny środek ekspresji? Czy wyrażasz się w niej jako pisarz teologizujący? A może jesteś po prostu także pisarzem?

ks. Kamykowski: Bo ja wiem? Na razie próbuję pisać nową baśń. Nie bardzo mam czas na tej emeryturze. Zaczęło się coś rozwijać, ale nie wiem, czy dokończę. Wiem, o co chcę się tym razem „upomnieć”, ale nie wiem u kogo. Nie widzę jasno czytelników, jak to było u progu mojej „kariery literackiej”. Coraz mniej ludzi, których cieszy czytanie książek. Więc po co pisać? Zobaczymy... Ostatnio więcej widzę pozytywnych reakcji na moje fotografie. Ale to trochę za ubogi „środek wyrazu” przy moich (nie)umiejętnościach w tym względzie. Czasem mnie korci, żeby znów zacząć rysować, malować. Ale na razie nie bardzo wiem, gdzie się z tym rozłożyć. Może na starość mi się po prostu nie chce organizować warsztatu. Do pisania jestem wprawiony na bieżąco, mam komputerek na stoliku – tylko włączyć.

ks. Dzidek: Wspomnianej przez Ciebie starości nie widać. Odznaczasz się doskonałą kondycją, jak przypuszczam, dzięki rowerowej pasji. Kiedy ona się zaczęła? Czym jest dla Ciebie rower? Odszkodnią od pracy, sposobem na zdrowie, a może rower po prostu daje poczucie wolności?

ks. Kamykowski: Na rowerze jeżdżę od najmłodszych lat. Uczyłem się chyba jeszcze w wieku przedszkolnym, najpierw na dzieciennym (ale nie trójkołowym), potem trochę większym modelu. Trzeci z kolei, kupiony za wszystkie pieniążki uskładane w Szkolnej Kasie Oszczędności podczas całej podstawówki i znakomicie uzupełnione przez Tatę, służył mi najdłużej, od 1965 do 1995 roku – trzydzieści lat i w okresie seminaryjnym przejechał

ze mną najdłuższą w moim życiu trasę rowerową ze Skierniewic do Władysławowa. Następny był wyjątkowo tandetny i rozpadł się po trzech latach, ale przeżyliśmy razem ucieczkę grzbietami Pogórza Wielickiego przed wylewającą w 1997 roku Rabą. Kolejny służy mi od 1998 roku do dziś... Pytałeś czym jest dla mnie? Wszystkim tym, co zgadywałeś trafnie w pytaniu, ale chyba nie tylko. Całkiem prozaicznie najczęściej jest w Krakowie najskuteczniejszym sposobem przemieszczania się w miarę szybko przez miasto. Z każdego korka i nieprzewidzianego remontu ulicy da się z nim jakoś wywinąć. A tych nieprzewidzianych remontów, jak wiesz, nigdy nie brakuje w mieście zbudowanym na rozlewiskach Wisły i jej dopływów, między wapiennymi wyspami, zwłaszcza w okolicach Wenecji, gdzie mieszkam.

